

Międzyzakładowego
Komitetu
Założycielskiego
Niezależnego
Samorządowego
Związku
Zawodowego

NR 7



ZIEMI PUŁAWSKIEJ

NUMER SPECJALNY

PAMIĘCI OFIAR GRUDNIA 1970

Günter Grass

AŻ DO WYMIOTÓW

Z Marią jestem spokrewniony. Jej ojciec jest kuzynem mojej matki. Ludzi, którzy nazywali się Kuczora, można było spotkać w Kokoszkach, w Ręblichowie i w Żukowie jeszcze za czasów Amandy Wojko. Jedną z jej wnuczek, Luiza Pipka /kuzynka Zofii/, wyszła za pewnego Kuczorę z Vierecku /dzisiejszej Firogl/. A więc Marię dalaoby się wywieść od Leny Stubbe, która była z domu Pipka, i od Amandy Wojko; podobnie moja babka po kądzieli będąc z domu Kuczora /jej matka miała jednak nazwisko paniieńskie Bach/ świadczy w dostatecznej mierze o moim pochodzeniu, by uznać mnie /jak Marię/ za spokrewnionego z Amandą i Leną. A że w linii Marii ze strony matki jest kilku Kurbielów i Korbzielów, moja matka zaś miała wuja Kurbiele /który wywedrował do Ameryki/, a biedna Sybilla Niehlau pamiętała ciotkę Korbiele /siostrę swej babki po kądzieli/, która w Kartuzach sprzedawała jakoby przędzę, guziki i nici jedwabne Gutermana, przeto mógłbym się też dogadać do pokrewieństwa z Agnieszką, kucharką gotującą zdrowe portawy, zwłaszcza że są poszlaki, iż matka Agnieszki, która jak ojciec Kurbiele została zabita na Helu przez Szwedów, miała się z domu nazywać Wojko czy Gnojko. /Trzeba także wspomnieć, że Katarzyna, młodsza córka przeorowskiej Rusch, wyszła za rzeźnika nazwiskiem Kurbjuhn i że matka Doroty Swarze, zwanej Dorotą z Montewy, była z domu Wojkat/.

W końcu my, Kaszubi, jesteśmy wszyscy wśród kilku miedz ze sobą spokrewnieni. Dzielili tylko las w Złotej Karczmi /pod Bysewem/, krzaki malin pod Żukowem, szosę do Kartuz, rzeka Wisła, rzeczka Radunia i czertery, pięć wieków: czas przed i po kartoflach, historia, która nad nami przeszła. O tym Maria nie wiedziała nic.

Była blondynką. Zanim zaczęła się w sklepie spółdzielczym uczyć na ekspedientkę, jej loki opadały jak chciały. Potem koleżanka zaczęła się uczyć na fryzjerkę. Kuczorowie, poza jednym bratem mojego wuja, co w czterdziestym piątym poszedł na Zachód, mieszkają albo w Gdyni, albo we Wrzeszczu, który jako przedmieście miasta Danzig nazywał się dawniej Langfuhr. Zajmują razem z dwiema młodszymi siostrami Marii dwu-i-pół-pokojowe mieszkanie przy ulicy Lelewela, która dawniej nazywała się Labesweg. /W Kokoszkach posiadają jeszcze półtorej morgi gruntu pod kartofle i warzywa/.

W tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym ósmym, kiedy otrzymałem po raz pierwszy wizję i wracałem z rozchwybotaną pamięcią, Maria miała dziewięć lat i śmiała się widząc mnie w moich zachodnich ciuchach. Taka została: blondynka, chichotka, lubiąca tańczyć, szybko racnująca w pamięci, świetna ekspedientka, trochę zadziorna w obejściu w chłopcami, nie mająca pojęcia o niczym prócz tego, co się właśnie działo. Byłem wujkiem z Zachodu, który przyjeżdżał co kilka lat, przywoził płyty /Beatalsi/, który nie umiał mówić ani po polsku ani po kaszubsku, o którym sobie coś wyobrażała: ładnie i fałszywie.

Ale i ja wyobrażałem sobie jakoś Marię. /To tak jest, kiedy się zapomina swojej mowy/. Wyszło potem gorzej, niż sobie wymyśliłem. Powinno być stworzyć inną historię dla Marii. Szczęśliwą, z kołowrotkiem małych kłopotów i odpowiednim prezentem weselnym. Ale czas był nie po temu. Maria nie była już ekspedientką w spółdzielni. Gdzie indziej zwoźniło się dla niej miejsce. Chciała koniecznie poprawić sobie warunki. Zarazem nie była wcale stworzona do kuchni. /Powinna była na Mariackiej w jakimś sklepie z pamiątkami sprzedawać szlifowaną biżuterię i mieć ją na sobie: odpowiednio do włosów/.

Waluta pomorska. Drobną pieniądź po długich plażach obficie leżący. Posag wydm wędrownych. Ten, który morze Bałtyckie z powrotem wypłaciło. Już Fenicjanie nadciągający najpierw z Sydonu, potem z Kartaginy przez Kornwalię, gdzie kupowali cynę za purpurowe tkaniny, żeglowali aż tutaj i wymieniali zboże siewne /jęczmień i orkisz/ na kawałki duże jak pięść. A kiedy Mestwina została święta, żańcuch bursztynowy z jej szyi rozsypał się daleko w głąb łąd. Amanda znalazła później kilka brył w kartofliskach. A kiedy Maria podarowała mi bursztyn wielki jak orzech włoski, poznałem od razu stary historię rozpoczyna się od nowa, Marię ujrzałem zmienioną, była na inny sposób możliwa.

Wtedy jeszcze uczyła się w spółdzielni. Bursztyn znalazła podczas kopania kartofli na reszcie gruntu w Kokoszkach. Piękny kawałek: w skorupiasto-żółtym obrzeżu ciemno zakręgała się przezroczysta kropka z muchą w środku.

Nie powinnaś mi była dawać tego bursztynu. Teraz opowiem wszystko. Jak stawałaś się na inny sposób rzeczywista. Jak ci śmiech odebrało. Jak skamieniałaś.

Od lata roku sześćdziesiątego dziewiątego Maria Kuczora, która zrazu była ekspedientką w spółdzielni, a potem siedziała przy kasie, zaczęła pracować jako kucharka w stołówce zakładowej stoczni im. Lenina w Gdańsku. Zarabiała tam o sto dwadzieścia złotych więcej niż w spółdzielni. Ponieważ brakowało jej doświadczenia z kuchni, do roboty przy kotłach stawiała tylko w zastępstwie, ale że znała się na cenach i jakości produktów, powierzono jej zaopatrywanie stołówki i przechowywanie konserw.

Jej zmysł praktyczny i pogodny usj sobienie dawały szybko wyniki. W stosunkach z biurokracją przydały: ę doświadczenia ze spółdzielni: dopomogły w uzyskaniu specjalnych przydziałów. Sprowadziła wielką zamrażarkę. /Okreśną drogą upłynniła części zamienne do traktorów za świeże jarzyny/. Jadłospis w stołówce stał się bardziej urozmaicony. Ale gdy Maria zaczęła część zakupów załatwiać przez port wolnościowy i nagle w stołówce pojawiły się owoce południowe, posprzęcała się ze swym przyjacielem Janem, śmiały w koncepcjach, lecz skądinąd bojaźliwym młodym człowiekiem, który w dziale reklamowym stoczni opracowywał prospekty dla krajów zachodnich, a Marii okazał pomoc, kiedy starała się o pracę w kuchni przy stołówce.

Jan studiował, co prawda, budownictwo okrętowe, ale nieprzytomny był na punkcie wczesnej historii Pomorza. Nocami pisał wiersze. Jego esej o lirycie miłosnej Wisława z Rugii został opublikowany w Alma-

nachu Bałtyckim. Jego cykl wierszy o córce księcia Mestwina, Damroce, pierwszej przeoryszy klasztoru w Żukowie, był tak przesycony metaforyką erotyczną, że obok życzliwych recenzji spotkał się z protestem kaszubskiego towarzystwa kulturalnego. Wiele sporów wywołała jego teza, że ów wódz, który pobił i zniszczył księcia Kaszubów Świętopełka, był Duńczykiem Fortynbrasem, utrzymującym w końcowej scenie "Hamleta", iż wraca zwycięsko z Polski. Jan chciał nawiązać do Szekspira i napisać dalszy ciąg tragedii. Brakowało mu tylko czasu. Za dnia pisał teksty reklamowe dla polskiego przemysłu okrętowego, które tłumaczono na angielski, szwedzki, niemiecki i uważano za przekonujące /w zachodnim rozumieniu reklamy/. Wieczorem czekała Maria, która chciała iść do kina albo na tańce.

Poznał ją kiedyś w spółdzielni. Od początku się sprzecali. Odniosł wtedy puszkę zepsutego groszku konserwowego i potrzymał przed nosem kasjerce Kuczorze. Gdy wieczorem spotkali się w otwartym dla publiczności parku klasztornym w Oliwie, Jan powiedział: Maria ze swymi lokami jak korkociągi przypominała mu księżniczkę kaszubską Damrokę, siostrę jego bohatera Świętopełka i kuzynkę Wisława z Rugii. To ona założyła klasztor w Żukowie nad rzeczką Radunią z zamilowania do dziłkich malin, które się tam rozrosły. I zacytował pewien ustęp swego długiego poematu. Marii podobały się skojarzenia historyczne Jana. Pozwoliła mu nazywać się Damroką. Wnet się też pokochali.

A ja? Ja nie jestem Janem. Jestem na wpół kuzynem Marii. Ona jednak nazywa mnie wujkiem. Mnie bursztyn tylko podarowała. Z wtopionym owadem. Ja jestem wtopiony. Ja w sytuacji wątpliwej: obsesyjnie anachroniczny i przechowany jako szczątka. Obok mnie: ja. Poza mną: ja. W ślad za zrobionym /w konia/ mną: parszające z cicha ja. Zawsze w odciążeniu, w ucieczce do innych czasów, z tyłu. Tam gdzie dziura w płocie historii. Posłuchaj, Mario: To było wtedy, kiedy Mestwina nosiła na szyi bursztyny z przewierconymi przeze mnie otworami. Od jej córek i od córek tych córek wywodzi się Sambor, Mestwin, Świętopełk i księżniczka Damroka. Nie, to byłem ten ja, który złowił mówiącego turbota. I ten w domu cechów, gdy cechy zaczęły bunt. Ja siedziałem w wieży katońskiej i leczyłem świeże sińce. Ja byłem, kiedy mnie zaraza pozdro-wiła przechodząc. I kiedy kartofel zwyciężył kaszę jaglaną. Mną zamieszkała w odwrotną stronę czasu wielka, wszystko mieszająca kucharka. Jak mnie /wołał jeszcze/ warząchwia cędzi. Jak mnie sprawiedliwie rozdziela. Jak ja jej moczony w occie kruszeję. Labczyk i kminek, majeranek, kpperek. Mnie się doprawia. Jan, Mario, to jestem ja przyrządzony według twojego przepisu.

A kiedy Maria Kuczora przepracowała już rok w stołowie stoczni Lenina, starając się o świeże jarzyny, odpowiednie przechowywanie konserw, produkty po korzystnej cenie i /bodaż nielegalnie/ południowe owoce, kiedy też na życzenie swojego przyjaciela, którego ciągle jeszcze kochała, a który ją /wieczorem, w ciemnym kinie, na ucho w tańcu/ nazywał Damroką, kiedy więc Maria, ponieważ Jak sobie tego życzył, przestała już ondulować włosy u fryzjerki, kiedy nadeszła jesień i w gazetach można było wiele przeczytać o układach gotowych do podpisu, kiedy wreszcie Gomułka i Brandt w imieniu Polaków i Niemców złożyli w Warszawie swe podpisy i - jak się mówiło - dokonali dzieła historycznego, kiedy zbliżała się zima i rozpoczęły zakupy przed Bożym Narodzeniem, wtedy Maria właśnie doradziła, żeby sprawunki zrobić czym prędzej: Tyle się opowiada o wiodących zadaniach narodowych. W gazetach pisze się wzniosłe rzeczy tylko już o tym, że godzina historyczna jest wielka. O konsumpcji nie ma nic. To wszystko są niedobre znaki.

- Oni na pewno podniosą ceny - powiedziała Maria do Jana.

I tak się stało. Z rozporządzenia władz. W sprawie cukru, maki, mię-

sa, masła i ryb. Jedenastego grudnia. A w czwartą niedzielę adwentu mieli się pobrać.

Od strony ekonomicznej wiele przemawiało za tym. Nie można wszystkiego subwencjonować. Tego nawet komunizm nie wytrzyma. Gdy rynek nie reguluje cen, państwo się z tym spóźnia. Ale razem z cenami zaczyna się walić coś więcej, czasem wszystko.

Kiedy w piątek - a chcieli być chytry i uwzględniłi w swych rachubach sobotę i niedzielę - podwyższono ceny podstawowych artykułów spożywczych o trzydzieści do pięćdziesięciu procent. Jan powiedział, iż faktem historycznym jest, że drożenie śledzi skańskich oraz przywożenie taniego piwa z Wismaru przyczyniło się wielokrotnie do jednoczenia skłóconych cechów i pobudzało je do wystąpień przeciw patrycjatowi. Potem zagłębił się w rozważaniach nad zniżkującymi cenami pieprzu za reformacji i jednoczesnym brakiem mięsa w Europie środkowej, ponieważ zmniejszały się dostawy bydła rzeźnego. Maria powiedziała, że jeśli tak działo się w kapitalizmie, to w komunizmie nic podobnego nie powinno się zdarzać. Każdemu zostało to wbite do głowy jeszcze w szkole. A jeżeli związki zawodowe nic nie robią, obejdzcie się bez związków zawodowych. I jeżeli mężczyźni nie mają odwagi, to już kobiety będą musiały dać mężczyznom popęd. O nie, nie, do kina ona dziś nie chce. Niech Jan biegnie i niech coś organizuje. Maria pomówi z kobietami ze spółdzielni. Ona je zna. Wiedzą tak samo jak ona, co myśleć o cenach. Połapały się już dawno, gdzie tu śmierzdzi. Na nie można liczyć.

I ponieważ wszędzie /tak jak Maria swemu Janowi/ dały kobiety swoim mężczyznom popęd - "A nie wracaj mi do domu, póki cen nie obniżą!" - wybuchnął nagle jutrz w Gdańsku i Gdyni, w Szczecinie i Elblągu, i na całym wybrzeżu polskim wzdłuż morza Bałtyckiego strajk pracowników portowych i stoczniowców. Przyłączyli się kolejarze i inni. Nawet dziewczęta z fabryki czekolady "Bałtyk". Wobec tego, że miejscowe władze związkowe nie poparły ruchu, tworzone spontanicznie komitety strajkowe i wybierano rady robotnicze. Nie tylko podwyżka cen miała zostać anulowana. Żądano, by powstał samorząd robotniczy: stare, głęboko zakorzenione, fantastyczne, piękne, nie dające się zniszczyć marzenie o tym, że można by samemu stanowić o sobie.

W gdańskiej stoczni Lenina, zanim jeszcze milicja wprowadziła kontrolę, dowiedziano pospiesznie więcej zapasów do stołówki. Odbyło się to nocą. Następnego dnia rano ze wszystkich przemieści, z Oruni i Przeróbki, z Wrzeszcza i Nowego Portu przyszło może pięćdziesiąt tysięcy robotników i prowadzących gospodarstwa domowe kobiet. Przeciagnęli obok dworca głównego i zgromadzili się przed centralną siedzibą partii komunistycznej. Ponieważ niewiele się dało tam powiedzieć, odśpiewali wiele razy Międzynarodówkę. Tylko w miejscu, gdzie stał Jan /którego odsunęto nieco od Marii/, toczyła się dyskusja, gdyż Janowi przychodziło do głowy mnóstwo skojarzeń historycznych, których nie potrafił zachować dla siebie. Jak zwykle, zaczął od starych Pomorzan: od Sambora, Mestwina, Świętopelka i pięknie trefionej Damroki. Tego jeszcze robotnicy słuchali, ale gdy Jan się rozpędził i zagubił w gmatwaniu średniowiecznych porządków cechowych, porównując walkę o miejsce i głos w radzie siedzącej i w radzie stojącej ze współczesną walką o samorząd robotniczy, stoczniowcy przestali słuchać.

Potem tłum zaśpiewał jeszcze raz Międzynarodówkę. Tylko Maria, która stała odepchnięta nieco na bok, widziała, jak Jan uprawia tę agitację opartą na argumentach historycznych: już bez słuchaczy, w banalno-
potrząsanej zamknięty.

Trzymała głowę lekko przekrzywioną i miała wokół ust linię, z której

robi się uśmiech.

Tak przekrzywioną głowę trzymały wszystkie: z pewnym frasunkiem i jednocześnie rozbawieniem, że jest aż tyle gadania i męskiego zapachu. Tak właśnie, ale już w gotowości do drwinek, patrzyła na karnościę Heggego i słuchała go przeorysza Margaretę Rusch, gdy ten na Hegelsbergu wieczną klątwą egzorcyzmował wszystkie diabły od Asmodeusza do Zarczego. Z takim zatroskaniem, ale już z uśmiechem, który się w rozrzuconie przeradzał, zaglądała pocie Opitzowi przez ramię dziewna kuchenna Agnieszka Kurbiała, gdy on siedział nad białym papierem bez słowa, lecz z bogactwem figur stylistycznych w sobie. Z tym wyrazem twarzy przyjęła mnie Wiegga, buraczona baba z epoki żelaza, kiedyś chory na nogi wrócił kuśtykając z wędrowni ludów. Podobnie też ogłądała mnie Lena Stubbe przekrzywiając głowę, kiedyś ją w jakiś piątek znów skórzany pasem zioł i zawsze potem szukał stryczka i gwoździ nie znajdował. Inaczej, kpiąc, uśmiechała się Dorota i głowę na ukos trzymała, kiedyś dawał upust swemu gadulstwu w sprawach cechowych, albo przeliczał drobne pieniądze. Zofia znów była niespokojna i niepewna, gdy dla swego Fritza, który siedział uwięziony w twierdzy, wiązała paczkę pierników, a upiekła je przedtem z dodatkiem drobnego siłakowego, jak używka pobudzającego muchomora. I tak uśmiechała się również moja Mestwina, widząc, że biskup Wojciech zajada jej zupę rybą, Pokarmiszy mnie na tyle, że się uciszył /wielki, głupi dzieciak/, Aua krzywiła głowę, opiekuncze troskliwa i uśmiechnięta, bo pewna: tego to nigdy nie będzie dosyć, głód przychodzi wiecznie, przyczyna kłopotów zostaje.

Dlatego Maria trzymała głowę przekrzywioną, kiedy widziała, jak wciśnięty w masę ludzką, a jednak prze nikogo nie słuchany Jan uprawia agitację. Zaraz go kubeł zimnej wody obleje, kiedy zobaczy, że został sam ze swoimi powiastkami historycznymi. Zaraz mnie zacznie szukać, żeby się przede mną wygadać. Bo baze mnie mówi tylko ze strachu. Zaraz ja powiem: Janie, masz rację. To trzeba widzieć w perspektywie historycznej. To się nigdy nie kończy. Nawet w komunizmie. Zawsze są ci na dole przeciw tym na górze. Kiedyś bonzowie nazywali się patrycjuszami. Przez nich drożały śledzie skańskie. Oni podbijali cenę pieprzu, chociaż było go pod dostatkiem. Oni zawsze mówili: Duńczyk winien. Cła w Gundzie idą w górę. Wszystko drożeje. Tak to jest. Trzeba się z tym pogodzić. To mówi Państwo jako Partia. A ona ma rację, ma zawsze rację. I ona zawsze mówi: na wolność jest jeszcze za wcześnie.

Kiedy Jan odnalazł w tłoku swoją Marię, powiedziała:

- No, chodź. Pójdziemy do stoczni. Tam będzie bezpiecznie. Tam niczego nie zabraknie. Tam wszystko przeczekamy. Choćby to nawet trwało nie wleźć jak długo. A wesele będzie po świętach i wesołe wesele, na pewno.

Dopiero kiedy tłum zaczął się rozpraszać, doszło do bójek z milicją. Przed dworcem głównym zabrzęczały tłuczone szyby. Palilo się kilka kiosków z gazetami. Potem palił się komitet partii. Nastrój był raczej pogodny. Ludzie zobaczyli już, jak wielu ich jest. Później doszło do areztowań, wskutek czego pewna część tłumu ruszyła pod więzienie na Strzelecką. A tam znów - benzyna w okna. Chłopiec wpadł pod gąsienicę. Ale nie strzelano jeszcze.

Dopiero następnego dnia, kiedy robotnicy ze stoczni Lenina wycofali się na teren zakładu, obstawili bramy stoczni strażą przemysłową, i gdy - na wypadek interwencji wojskowej - przygotowano się do wysadzenia w powietrze ważniejszych urządzeń oraz do wodowania przed czasem nie wykonanych jeszcze statków, gdy od strony Warszawy nadjechały

jednostki wojska ludowego, a milicja zacięła pierścien wokół terenu stoczni, gdy w stołówce zakładowej ugotowano dla przeszło dwóch tysięcy ludzi kapuśniak z kminkiem, gdy niektórzy młodzi robotnicy spróbowali przed główną bramą stoczni dyskutować z milicją, i gdy Jan Ludkowski omówił przez megafon najpierw historyczne podłoża strajku - poczynając od średniowiecznych powstań cechowych, poprzez powstanie marynarzy i robotników w Piotrogradzie przeciw biurokracji partyjnej a za systemem rad, kończąc na obecnej podwyżce cen i wysuniętym przez komitet strajkowy postulacie samorządu robotniczego - kiedy wreszcie Jan zacytował Manifest Komunistyczny, a jego donośny, dźwięczny, tylko ze względu na treść sprawy surowiej brzmiący, męski głos dobiegał daleko /aż do Starego Miasta/, wtedy milicja otworzyła ogień i trafiła wielu robotników. Pięciu śmiertelnie. Między nimi był Jan.

Strzelano także w Gdyni, Szczecinie i Elblągu. Najwięcej zabitych /ponad pięćdziesięciu/ było podobno w Gdyni, gdzie milicja ostrzelała tuzem bronią maszynową z helikopterów i użyła moździerzy. Po czym w Warszawie obalono Gomułkę. Nowy sekretarz nazywał się Gierek. Coñął on podwyżkę cen żywności. Robotnicy myśleli, że odnieśli zwycięstwo i przestali strajkować, choć postulat wprowadzenia samorządu robotniczego pozostał bez odpowiedzi.

Gdy milicja oddała śmiertelny strzał do Jana, trafienie otrzymał on w brzuch pełen kapuśniaku, a nie, jak sobie tego kiedyś w wierszach /za Majakowskim/ życzył, w czoło. Zginął w pół zdania. Maria nie pomagała, kiedy zabitych i rannych wiozłano na teren stoczni. Przyjmowała właśnie do stołówki transport konserw rybnych ofiarowanych przez załogi dwóch statków radzieckich, stojących w suchym doku. Potem rzuciła się na zwłoki Jana, który miał jeszcze usta otwarte, i potrząsnęła nim, jakby chciała się posprzeczć: Powiedz coś jeszcze. Powiedz, że to logiczne i jasne. Powiedz, że takie są fakty. Powiedz, że historia dowiodła. Powiedz, że już Marks o tym wiedział. Powiedz, że tak będzie. Powiedz mi coś, powiedz...

Po śmierci Jana Maria nie przestała pracować w stołówce zakładowej. Dopóki pertraktacje z nowym sekretarzem, Gierkiem, były w toku - a dochodząco częściowo do zgody - dostawy napływały obficie. Pogrzeby zabitych odbyły się z nadzwyczajnym pośpiechem, bez publiczności, na różnych cmentarzach, w Emaus, w Pruszczu i na Oruni. Rodziny nie mogły wziąć w nich udziału. Jan leży podobno na cmentarzu w Emaus. Ponieważ czterech pozostałych zabitych było ślazakami, nikt ich dobrze nie znał. Krewnych w Katowicach i Bytomiu zawiadomiono o wiele za późno. Narodziło to złej krwi. Miały to powetować wyrazy ubolewania z góry.

Ale nie jest tak, że zabici się liczą. Motoryzacja pochłania więcej. I z coraz większą troską myśli się o sprawach bytowych wdów i sierot. Wszystkie strzały oddano w brzuch. Tak nisko trzymała broń milicja. Co prawda zaznaczono to w aktach i miała być o tym mowa później, ale do procesu nie doszło i nie wymieniono nigdy wszystkich winnych. Lecz tak to już jest: życie toczy się dalej.

Właściwa uroczystość żałobna odbyła się między Gwiazdką a Nowym Rokiem na terenie stoczni, pod gołym niebem, bo stołówka była za mała. Maria siedziała w czerni obok innych kobiet w czerni, przed sobą miała trybunę, kwiaty, flagi, muzykę i płonące znicze. Mówcy /niemal wyłącznie członkowie komitetu strajkowego/ powtarzali, że tego się nie zapomni. Mówili o zwycięstwie odniesionym przez solidarnie działających robotników, jeśli nawet nie wszystko jeszcze osiągnięto. Na pochylni obok stały dwa statki, a siedziały na nich tylko mewy. /Wielkie zamówienia

dla Szwedów. Te statki chciało przed wykończeniem spuścić na wodę, gdyby milicja zaatakowała teren stoczni/. Jan pracował jeszcze nad prospektami reklamowymi, gdzie fotografie tych kadłubów miały obrazować postęp. Jeden z mówców przypomniał pracę Jana i określił ją jako pełną fantazji. /Nie przypomniano ciągle odrzucanych propozycji Jana, by nowo budowane statki nazwać imionami pomorskimi jak "Świętopełk" czy "Damroka". Stefan Batory - twierdził Jan - nie był Polakiem, lecz Węgrem z Siedmiogrodu, a mimo to pewien statek nosi dumnie jego imię/. Kiedy na zakończenie wystąpił mówca z partii, rozłożył winę na wielu odpowiedzialnych, nie wymieniając nazwisk. Ktoś ze stojącego tłumu robotników wykrzyknął nazwisko: Kociołek! Maria nie płakała, bo coś uwięzło jej w gardle. Inne kobiety w czerni płakały. W przerwach między mowami płakały głośniejsze. Także mężczyźni płakali.

Po przemówieniach zagrała orkiestra zakładowa najpierw uroczystą, potem bojową melodię. Z tankowców na pochylni wleciały mewy, usiadły z powrotem. Następnie pewien aktor wygłosił wiersz o śmierci, napisany przez Jana. Co prawda, w wierszu wspominającym poetę, który musi pozostać sobą aż do śmierci, chodziło o barokowego liryka i dworskiego historiografa, Martina Opitza, lecz dzięki wymownej interpretacji aktor-skiej i w związku z akademią żałobną zwrot "Krwia zadławione słowa" mógł odnosić się tylko do Jana. Ten jednowierszowy refren wracał w każdej strofie. Były tam też metafory takie jak "mierzwę czerni", co miało się rymować ze słowem "śmierć".

Podczas recytacji wiersza zebrało się Marii, która czuła uwieranie w gardło, na wymioty. Dwaj członkowie straży przemysłowej z ciągle dławiącą się młodą kobietą w czerni przeszli obok mówców, kwiatów i flag, obok płonących zniczy i obok orkiestry, aż wyprowadzili ją między paraki zakładowe, gdzie się wyrzygała. Przed akademią żałobną była Maria u fryzjerki.

Później w stołówce, po wypiciu herbaty, nabrała gwałtownej ochoty na kiszzone ogórki. Ale ogórków już nie było. A pewna płacząca kobieta, matka Jana, która przybyła z Chojnic, powiedziała do innych płaczących kobiet w czerni, gdy rodziny zastrzelonych siedziały w stołówce przy herbacie:

- Ona to ma od mojego syna. Przecież mieli się pobrać. Może będzie chłopak.

Były to jednak dwie dziewczynki. Ochrzczono je imionami Mestwina i Damroka. Teraz mają blisko trzy lata i znają fotografię Jana. Fotografia stoi na półce obok modelu historycznej kogi. Ale Maria, z którą jestem spokrewniony i która podarowała mi znaleziony w kartofliaku bursztyn z muchą w środku, Maria, która wszędzie, i w spółdzielni i w stołówce, uchodziła za wesołą śmieszkę, Maria skamieniała. Mówi teraz głuchym głosem.

przełożył Jasek Bocheński

GUNTER GRASS - wybitny prozaik i poeta niemiecki, urodzony w 1927 roku, mieszkający w Berlinie Zachodnim, z pochodzenia Gdańszczanin, określający się sam jako Kaszuba, odznaczony w 1978 roku odznaką honorową Towarzystwa Pomorsko-Kaszubskiego. Bolesław Fac tak o nim mówił: "Pisarz zachodni-niemiecki, którego matką była Kaszubka, stawia w swojej twórczości pomnik Kaszubszczyźnie, Pomorz, Gdańskowi i polskości. Czyni to dlatego, że to wszystko stało nad jego kołobką i jako mądry i utalentowany pisarz nie chce tego stracić, co więcej jest pewny, że odrzucenie tego rodowodu oznaczałoby zubożenie jego twórczości, kto wie czy w ogóle nie uniemożliwiłoby mu dojścia do spraw tego świata..."

Mało znany czytelnikowi polskiemu, nie był dotąd oficjalnie wydawany w naszym kraju z uwagi na zakaz cenzury. Tekst powyższy podajemy za numerem 9 niezależnego pisma literackiego ZARIS, ukazującego się nakładem NIEZALEŻNEJ OFICYNY WYDAWNICZEJ.

SOLIDARNOŚĆ ZIEMI PUŁAWSKIEJ - pismo MKZ NSZZ "SOLIDARNOŚĆ" w Puławach. Redaguje Kolegium w składzie : Apoloniusz Berbeć, Hanna Czekaj, Andrzej Hosiowski, Andrzej Kowalczyk, Ireneusz Ostrokólski, Włodzimierz-Zbigniew. Adres redakcji: Al. Jedności 19 pok.136, tel. 33-69 godz. 8 - 18. Biuletyn do użytku wewnątrzwiązkowego.
